

Oślepiający blask prawdy

Autor tekstu: **Lucjan Ferus**

Czyli jak ślicznie i logicznie można uzasadnić, że **nie zabijaj** znaczy **zabijaj**

Motto:

„Zachłystujemy się różnymi wolnościami,
nie zdając sobie sprawy, że prawdziwa wolność
istnieje tylko w połączeniu z prawdą /.../
Przychodzi czas na to, ażeby blask tej prawdy
zaczął rozjaśniać na nowo mrok ludzkiej egzystencji”.
papież Jan Paweł II

„Kiedy widzisz, że zwycięża prawda, zawsze pytaj,
jakie potężne kłamstwo za nią walczyło”.
Fryderyk Nietzsche

Chciałbym podzielić się z czytelnikami Racjonalisty pewnym problemem intelektualnym (bodajże natury epistemologicznej, ale pewności nie mam), którego sam – mimo szczerych chęci – nie potrafię rozgryźć. Czynię to z pewną nieśmiałością, gdyż nie jestem z wykształcenia ani filozofem zwyczajnym, a co dopiero katolickim (o studiach teologicznych nawet nie wspominając). Posługuję się jedynie po amatorsku własnym umysłem, słabo wykształconym (wiadomo: czasy PRL-u,... teraz to co innego!), rozpatrując problemy na tzw. „zdrowy rozum” i może czasami wykorzystując jakieś – bo ja wiem? – przebłyski intuicji. Więc przepraszam z góry za ewentualne potknięcia i braki w rozumowaniu tu zaprezentowanym; myślę jednak, że temat jest na tyle ciekawy, iż wart jest przedstawienia nawet w mocno niedoskonałej formie.

Zatem do rzeczy: zacznę od następującego pytania: „Czy **logika** jest (jak matka) tylko **jedna**, którą to stosuje się do wszelakiego rodzaju rozumowań, czy też są **dwie różne**; jedna do **wszystkich** rozumowań – za wyjątkiem dziedziny religijnej – i druga zarezerwowana wyłącznie dla **religii?**” Pytam, bo przez te wszystkie lata interesowania się religiami i religioznawstwem, wydawało mi się (byłem nawet o tym przekonany), że logika **powinna być jedna** i dlatego stosowałem ją w miarę swoich skromnych możliwości, bez wyjątku do wszelkich rodzajów myślenia – czy to dotyczyło sfery **sacrum** czy **profanum**. Jednakże bardzo często odnosiłem wrażenie, że religie chyba muszą posługiwać się **inną logiką**, gdyż wnioski do jakich dochodzili (i dochodzą) apologety są tak różne od wniosków wyciąganych przy zastosowaniu zwykłej i ogólnie dostępnej logiki, iż niepodobna nie zauważyć, że muszą oni posługiwać się jakimś zupełnie innym (ale jakim?) sposobem rozumowania.

Kiedy jednak zacząłem wertować fachowe książki (może to nieco anachroniczny sposób zdobywania wiedzy, gdyż teraz **wszystkiego** szuka się w Internecie), chcąc upewnić się kto ma rację, przekonałem się ku swemu zdziwieniu, iż nie wymieniają one nigdzie **logiki religijnej** jako odrębnej formy logicznego rozumowania. Zatem miała by być ona rzeczywiście jedna? Aż się nie chce wierzyć! Czyli, że **prawdy** wiary religijnej można rozpatrywać za pomocą tej jednej, jedynej logiki, której definicja w „Słowniku wyrazów obcych” PWN brzmi: „Logika – 1. Dyscyplina naukowa, zaliczana do nauk filozoficznych (podane jej odmiany – ale bez religijnej), 2. Poprawne myślenie, zdrowy rozsądek, sensowność, 3. Prawdliwość, konsekwencja”. Natomiast w „Filozofii” autorstwa Richard H. Popkin i Avrum Stroll o logice m.in. tak napisano:

„Wszystkie dziedziny filozofii angażują myślenie, a czy jest to myślenie poprawne czy nie, zależy od tego, czy jest ono zgodne z prawami logiki /.../ Logika jest więc nauką, która stara się odróżnić złe rozumowania od dobrych lub (co jest równoznaczne) dobre wnioski od złych /.../ Dlatego nie będzie wielkim zniekształceniem treści słowa, gdy zdefiniujemy logikę jako naukę o „dobrych racjach”. Wynika więc z powyższego, że prawdy religijne – jak każda inna dziedzina wiedzy – również podlegają tej jednej, uniwersalnej logice. Pora wyjaśnić dlaczego przytrzymałem się do tej logiki „jak rzep do psiego ogona” i namolnie dopytuję się o jej

istotę. Otóż mam przed sobą bardzo interesującą książkę, wydaną w połowie lat 90-tych ub. wieku (mniej więcej też wtedy pierwszy raz ją czytałem), napisaną przez prof. filozofii katolickiej p. [Jerzego Kopanię](#), zatytułowaną „Ludzkie oblicza boskiej prawdy”. Autor tej skądinąd intrygującej publikacji, przybliży czytelnikom parę problemów natury filozoficzno-religijno-moralnej, w sposób przejrzysty i łatwy do zrozumienia, nawet dla takiego jak ja laika. W formie ciekawych esejów pisze w niej o Abrahamie, Platonie (prawdę mówiąc nie wiedziałem, iż był on „starym pederastą”), Epikurze, Tomasz z Akwinu, La Mettrie’u i G.W. Leibnizu na zakończenie.

Oczywiście nie mam zamiaru jej całej komentować (choć cała warta jest przeczytania), a jedynie chciałbym się skupić na św. Tomasz z Akwinu. Dokładniej na problemie, którego dotyczy ów esej, zatytułowany: „Pominięta kwestia Tomasza z Akwinu”, a w szczególności proszę zwrócić swą uwagę na rodzaj logiki tam zastosowanej, bo wydaje mi się (mogę się mylić, oczywiście), że coś z nią jest nie tak... chociaż może to nie jest kwestia logiki jako takiej, ale **wniosków** do jakich ona prowadzi, no i być może przesłanek, bo to chyba ściśle jest ze sobą powiązane, jeśli się nie mylę.

Otóż szanowny Autor zaczyna swój esej od słów: „Tomasz z Akwinu służył Bogu z całą mocą swego rozumu i zwykł mawiać, że rozum jest najpiękniejszym tworem Boga /.../ a jeśli jest to rozum człowieka wierzącego, wówczas staje się dla niego oczywiste, że droga poznania biegnie w tym samym kierunku co droga wiary, dzięki czemu uzyskać możemy jeden i jednolity obraz rzeczywistości – prawdę o Bogu i stworzeniu”. Dla pełniejszego obrazu dodaje: „Pojęcie prawdy leży u podstaw europejskiej cywilizacji, jest jednym z pojęć, które współtworzą kształt filozoficznego myślenia”. Trudno się z tym nie zgodzić, prawda? Następną parę stron poświęconych jest opisowi pewnych wydarzeń z życia tego wielkiego teologa i komplementowaniem jego dokonań na niwie filozoficzno-teologicznej. Aż dochodzimy do meritum tego eseju: „Wielkiego i bolesnego problemu – ludzkiego odstępstwa od Prawdy”. Autor tak pisze:

„Tak bardzo Bóg umiłował człowieka, że zechciał, by służył mu bez przymusu i dlatego obdarował go wolną wolą, dopuścił by mógł oddalić się od Prawdy i zbliżyć się do nicości. Jako się rzekło, problem to wielki i bolesny; na jeden tylko z mnogości aspektów zwrócimy uwagę – na kwestię, jak ma się zachowywać ten, kto poznał i przyjął całym sobą Prawdę, wobec tego, kto jej nie posiadał. Wszelako odróżniać powinniśmy tych, którzy odchodzą od Prawdy i tych, którzy Prawdy nie znają; pierwszych zwiemy heretykami /.../ drugich zaś po prostu niewiernymi /.../ Kwestię stosunku do niewierzących /.../ Tomasz zaczyna od rozważenia czy niewiara jest grzechem i z właściwą sobie ścisłością rozgranicza dwie jej odmiany: niewiarę jako prosty brak wiary i niewiarę jako przeciwieństwo wiary. Ta pierwsza występuje u tych, którzy nigdy nie słyszeli o Prawdzie wiary, a więc nie można uważać jej za zamię grzechu; to raczej rodzaj kary, albowiem jest konsekwencją grzechu pierwotnego, grzechu pierwszych rodziców. Oczywiście tacy niewierni są potępieni, a to z powodu innych grzechów, które bez wiary nie mogą być odpuszczone; wszelako z powodu niewiary jako takiej potępieni nie są.

Inaczej jest w przypadku tych, którzy słyszą Prawdę, lecz nie chcą Jej przyjąć, odmawiając posłuchania, a nawet wyrażają pogardę. Przecież powiedział Pan: „Gdybym nie przyszedł i nie mówił do nich, nie mieliby grzechu. Teraz jednak nie mają usprawiedliwienia dla swego grzechu” /.../ Ten rodzaj niewiary stąd się wywodzi, iż człowiek sprzeciwia się wierze i dlatego ta niewiara jest grzechem /.../ Niewiara jako grzech jest rezultatem pychy ludzkiej – zaślepiony pychą człowiek nie chce ukorzyć swego rozumu poddając go zasadom wiary i zdrowemu osądowi Ojców Kościoła /.../ Trzeba też z całym naciskiem powiedzieć, że niewiara jako przeciwieństwo wiary jest grzechem największym z możliwych. Każdy grzech sprowadza się bowiem w swej istocie do tego, iż człowiek odwraca się od Boga; a więc im większe oddalenie człowieka od Boga, tym większy grzech. Otóż nic tak nie oddala człowieka od Boga jak niewiara, gdyż pozbawia go ona prawdziwego poznania; jest więc niewiara grzechem największym”.

Dalej Autor tak wyraża swój zachwyt i fascynację powyższym rozumowaniem:

„Ścisłość logicznych wywodów wzbudza podziw; nie sposób oprzeć się sile wnioskowania, która zmusza do uznania wniosku, skoro uznało się przesłanki /.../ Miarą wielkości człowieka jest to, jakie dobiera przesłanki dla swoich wniosków. Zauważmy bowiem: skoro nieznaną Prawdę sprawia, że człowiek pozostaje niby w gęstych ciemnościach, to czyż nie należy wyprowadzić go na Światło, choćby używając przymusu, jeśli on sam nie potrafi ocenić właściwie swego stanu? /.../ Czyż nie zatrzymamy niewidomego kroczącego ku przepaści, nawet jeśli będzie się opierał, błędnie sądząc, że idzie drogą właściwą? A jednak Tomasz /.../

powiada stanowczo, iż tak czynić nie należy. Tych, którzy nigdy nie przyjęli wiary, jako to pogan i żydów, nie wolno siłą doprowadzać do wiary, nie wolno przymuszać by uwierzyli. Dlaczego? Odpowiada Tomasz: /.../ ponieważ wierzyć można jedynie aktem wolnej woli”.

W dalszej części swego eseju, Autor przytacza Deklarację o wolności religijnej, przyjętą na Soborze Wat. II, która to ma świadczyć, iż Kościół nie zszedł nigdy z drogi wytyczonej przez św. Tomasza: „Jednym z zasadniczych punktów nauki katolickiej, zawartym w słowie Bożym i nieustannie głoszonym przez Ojców, jest zdanie, że człowiek powinien dobrowolnie odpowiedzieć Bogu wiarą; nikogo więc wbrew jego woli nie wolno do przyjęcia wiary przymuszać”. Do takiego więc wniosku prowadzi przesłanka, że wiara jest sprawą wolnej woli”.

Można by odetchnąć z ulgą, gdyby nie dalszy ciąg tego eseju; następne kilkadziesiąt wierszy poświęcone jest opisowi relacji pomiędzy wierzącymi a niewierzącymi, w kontekście Prawdy objawionej chrześcijanom. I kiedy już mogłoby wydawać się, że wszystko dobrze się skończy, bo zgodnie z powyższym wywodem i tak wszystko zależy od **wolnej i nieprzymuszonej woli** człowieka, którego Bóg tak umiłował, że pozwolił mu z niej korzystać w tak ważkich sprawach,.. natykamy się na takie oto rozumowanie, poprzedzone wymowną analogią do złożenia ślubów zakonnych, do których to nie można nikogo zmusić (więc wynikają z wolnej woli człowieka), ale za to są przewidziane kary za ich złamanie (czyli jak nie kijem go to pałką – jak mówi ludowe przysłowie):

„Otóż analogicznie: przyjęcie wiary zależy od wolnej woli, natomiast odejście od niej powinno być stosownie ukarane. Ponieważ kara powinna być na miarę winy, należy zastanowić się, jak wielką winą jest odejście od wiary”. Tu też brat Tomasz – jak go nazywa Autor – posługuje się przekonującą analogią – sylogizmem, z której wynika jednoznacznie: „Widać więc jasno, że wina heretyków jest większa od winy niewiernych, a zatem herezja, sama będąc rodzajem niewiary, czyli grzechu najgłębszego z możliwych, jest winą największą z możliwych”.

W dalszej części – przypominając cele i okoliczności założenia zakonu dominikanów – Autor tak pisze: „Pozostaje tajemnicą, dlaczego Bóg nie sprawił, by płomienne kazania braci zakonnych skruszyły serca heretyków i oczyściły ich umysły; trzeba było uciec się do oręża władzy świeckiej i w płomieniach ognia spalić zarazę. Wtedy właśnie Kościół w mądrości swojej powołał do życia inkwizycję, by móc sądzić heretyków, lecz z ewangeliczną pokorą i miłością pozostawiać władzy świeckiej wymierzanie i wykonanie kary.

To był zawsze wielki problem brata Tomasza – jak wykazać mocą przyrodzonego rozumu, że błąd popełniają ci, którzy nie uznają Prawdy. To był jeden z najważniejszych celów jego trudu myślowego. Cóż jednak począć z tymi, którzy ze złej woli od Prawdy odchodzą? Jak wykazano, trwanie w herezji jest winą największą z możliwych, zatem i na stosowną karę zasługuje”.

W tym miejscu brat Tomasz znów posługuje się analogią, pokazującą, iż większą zbrodnią jest fałszowanie wiary niż pieniędzy, z której to analogii ma wynikać jasno, że „o ileż bardziej godzi się i należy heretyków nie tylko obłożyć klątwą, lecz także ukarać śmiercią /.../ jasne jest więc, że Kościół słusznie czyni, gdy mając na względzie zarówno ukaranie heretyka, jak zbawienie pobożnych, mocą klątwy usuwa go ze społeczności wiernych i następnie przekazuje władzy świeckiej, gdyż jest on od tej chwili /.../ tym, który musi być śmiercią usunięty ze świata”.

Następne akapity poświęcone są logicznym uzasadnieniom, dlaczego heretycy – recydywiści wyjątkowo zasługują na śmierć, a konkluzja owego wywodu jest następująca: „Dlatego śmierć heretyka konieczna jest zarówno z uwagi na jego zbawienie, jak i ze względu na zbawienie innych. Nie sposób podważyć tego toku rozumowania. Jednak Tomasz jest świadomy, że niektórzy mogliby żywić pewne wątpliwości”. Autor eseju przytacza te wątpliwości w postaci przypowieści Jezusowej o zachwaszczonym polu i wypowiedzi św. Chryzostoma, który stwierdził, że zabijając heretyków z konieczności, krzywdzić musimy wielu niewinnych. I dalej tak pisze:

„Brat Tomasz wiedział, że takie wątpliwości są bezzasadne”. Czyli przypowieść przypowieścią, a zaniechanie karania zbrodni herezji, to dopiero byłoby karygodne! I tu jest przywołany autorytet św. Augustyna, który widocznie tak samo myślał. Zatem konkluzja powyższego rozumowania jest oczywista i jednoznaczna: „Tak więc karanie heretyków śmiercią słuszne jest i zbawienne. W świetle płonącego stosu tym jaśniej ukazuje się Prawda, a gorejący heretyk, mając nadal drogę do zbawienia otwartą, samym sobą zaświadcza, że ci, którzy mu stos zgotowali, tak wielką miłość ku niemu żywią, iż zmuszeni byli poświęcić jego

ciało, byle mu duszę od zatracenia uratować”.

I dalej Autor tak zachwyca się tym wywodem: „Wielka jest siła logiki Tomaszowego rozumu. Tak wielka, że pozwala nam sądzić, iż dzieła Tomasza są pismami natchnionymi. Nie bez powodu przecież w czasie trwania Soboru Trydenckiego, w latach 1545-63, Tomaszową „Summę teologiczną” umieszczono na ołtarzu obok Pisma Świętego”.

No i jak wam się podoba powyższa logika zastosowana przez tego świętego męża?

„Piękna i przekonująca”, nieprawdaż?! Myślę, że każdy heretyk musi się z nią zgodzić bez zastrzeżeń i kiedy przed podłożeniem ognia pod stos (ale już po torturach), przeczytają mu ją „z ewangeliczną pokorą i miłością”, nie będzie miał zapewne żadnych pretensji do swych oprawców – tak przecież wielka jest siła tego logicznego uzasadnienia, konieczności jego śmierci i jemu podobnych wyrzutek.

Tak, .. „piękny” to przykład „logiki” wykorzystanej w tak wzniosłym i ważnym celu, więc nie ma się co dziwić, że budzi ona szczery zachwyt u katolickiego filozofa, którym jest Autor tej książki i tego eseju. Nie odnosicie jednak wrażenia, że prowadzi ona w złym kierunku? Bo mnie coś się widzi, że tak! Chociaż (jak już wspomniałem) nie mam wykształcenia filozoficznego ani tym bardziej teologicznego i kuda mi tam do tak wielkiego umysłu jakim szczylił się św. Tomasz z Akwinu. Ba! nie jestem nawet osobnikiem wierzącym religijnie (choć posiadam wiarę głęboką i niezachwianą, ale innego rodzaju). To jednak zupełnie inaczej zabrałbym się za tę niewdzięczną umysłową robotę, mianowicie tak oto:

Zacznijmy te moje amatorskie rozważania od tego samego, znamiennego fragmentu: „Tak bardzo Bóg umiłował człowieka, że zechciał, by służył Mu bez przymusu; i dlatego obdarował go wolną wolą, dopuścił by mógł oddalić się od Prawdy i zbliżyć do nicości”. Już sam pomysł, że tak marne, grzeszne i ograniczone stworzenie jakim jest człowiek, może w jakikolwiek sposób **służyć** swemu absolutnie doskonałemu i w niczym nie ograniczonemu Stwórcy – uważam za żałośnie infantylny i godny politowania, a w najlepszym wypadku za śmieszny. Czyż w swoim Słowie Bóg nie mówi wyraźnie i jednoznacznie?: „... on, który jest Panem nieba i ziemi nie mieszka w świątyniach zbudowanych ręką ludzką i nie odbiera posługi z rąk ludzkich, jak gdyby czegoś potrzebował...” (Dz. 17,24).

Poza tym jakoś mi się źle kojarzy **służenie z miłością**. Może jednak jestem zbyt staroświecki w tym względzie (a o tej dziwnej „miłości” bożej do swego stworzenia – człowieka, pisałem już nie raz w innych tekstach). Nie czepiajmy się zbyt szczegółów (wiadomo kto w nich tkwi); ot, przyjmijmy, że Bóg miał taki kaprys i zapragnął dowartościować się poprzez swoje własne stworzenie. Ważne jest co innego w tym stwierdzeniu: Bóg chciał, aby człowiek zechciał mu służyć bez przymusu, dlatego obdarował go wolną wolą. Powtórzę jeszcze raz gdyby ktoś nie zrozumiał: **Bóg po to dał człowiekowi wolną wolę, aby ten mu służył bez przymusu!**

Nie wiem jak wy to rozumiecie, lecz dla mnie jest oczywiste, że jedyna „służba” Bogu jaka jest do pomyślenia to ta, która wynika z tak zwanej potrzeby serca; z wolnej i niczym nie przymuszonej woli człowieka. To samo zresztą mówi Deklaracja o wolności religijnej: „Człowiek powinien dobrowolnie odpowiedzieć Bogu wiarą; nikogo więc wbrew jego woli nie wolno do przyjęcia wiary przymuszać”. Logiczne i sensowne, prawda? (nie dociekając, po co ta wiara człowieka jest w ogóle Bogu potrzebna, skoro on i tak wszystko o nim wie, na długo zanim się narodził, ale to tylko taka luźna dygresja).

Skąd zatem pojawił się w tym rozumowaniu element **kary**, która chyba raczej mało ma wspólnego z wolną wolą człowieka, a co za tym idzie – z wolnym nieprzymuszonym wyborem? Zaczyna się to od przedstawienia tego „wielkiego i bolesnego problemu – ludzkiego odstępstwa od Prawdy”. Autor (lub sam Tomasz, bo czasem trudno to rozróżnić) pyta: „Jak ma się zachowywać ten, kto poznał i przyjął całym sobą Prawdę, wobec tego, kto jej nie posiadał?”. Odpowiadam jak ja to widzę:

Powinien zapoznać go z tą Prawdą, skoro uważa, że to takie ważne (byle nie przy użyciu środków „bogaty”). A jeśli ten ktoś nie będzie sobie tego życzył – jedyne co można wtedy zrobić, to serdecznie mu **współczuć**, z racji pośmiertnej krzywdy jaką sobie wyrządza. I nic poza tym! Skoro człowiek dostał od Boga wolną wolę po to, by służyć mu (albo wierzyć weń) **bez żadnego przymusu**, to jakakolwiek **kara** w tym względzie jest obrzydliwym, faryzejskim zagranem, skierowanym w równym stopniu przeciwko człowiekowi jak i Bogu (a te analogie, którymi brat Tomasz podpira się w swym rozumowaniu, choć obrazowo przekonujące, w żadnym stopniu nie mogą być uzasadnieniem; pamiętajmy, iż **analogia nie jest dowodem!** O czym chyba **każdy** filozof wiedzieć powinien).

No, bo pomyślcie tak sami; dlaczego człowiek miałby być karany za coś co nie zależy od

niego samego i – mało tego – co jest **zgodne** z zamysłem bożym? Nie wierzycie?! Więc służę wyjaśnieniem, które samo powinno się narzucić **każdemu** rozumnie wierzącemu osobnikowi: św. Tomasz (lub Autor) pisze, „iż niewiara jako grzech jest rezultatem pychy ludzkiej /.../ niewiara jako przeciwieństwo wiary jest grzechem największym z możliwych”.. itd. itp. A dwie kartki wcześniej pisze coś takiego: „Skoro wszystko od Boga pochodzi, więc boskie myślenie jest przyczyną zaistnienia każdej rzeczy i każdej myśli”.

Rozumiecie co to oznacza?; dokładnie to, iż **każda myśl**, która pojawia się w naszych umysłach, ma swój początek i przyczynę w boskim myśleniu, które nieskończenie wcześniej poprzedza to nasze – ludzkie. Więc niewiara (bzdurne określenie, chyba chodzi o **brak** wiary, spowodowany np. **wątpliwościami**) nie może być czymś **gorszym** od wiary, skoro każdy z tych stanów został zapoczątkowany w doskonałym umyśle bożym. Czy to nie jest oczywiste?! Na dowód, że tak jest, weźmy katolicką definicję wiary: „**Akt wiary** jest to przyjęcie **prawdy** nadnaturalnej przez **rozum**, pod nakazem **woli**, pod wpływem **łaski**, ze względu na powagę Boga objawiającego”. A w Piśmie św. czytamy: „łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę, a to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga. Nie z uczynków, aby się nikt nie chwalił”. Wystarczy więc, aby zabrakło **łaski bożej** danej człowiekowi, a z całego skomplikowanego **aktu wiary** „będą nici”, bo sam rozum pod nakazem woli – choćby nie wiem jak się natężył, w żadną nadnaturalną prawdę **nie uwierzy!** Tak przynajmniej twierdzi sam Kościół kat...i chyba wie co twierdzi.

Myślicie, że Autor tego eseju i brat Tomasz tego nie wiedzą? Wiedzą, wiedzą! Parę stron wcześniej są takie oto słowa: „Próżnym byłoby zajęciem usiłowanie zbadania, dlaczego Bóg odmówił łaski wiary Piłatowi, obdarzył ją natomiast szczerze Tomasza”. Otóż to! Gdyż Bóg obdarza łaską kogo chce i kiedy chce („Bóg komu chce okazuje miłosierdzie, a kogo chce czyni zatwardziałym” List do Rzymian), jak sam przyznaje w swoim Słowie, gdzie napisano także: „Wiem Panie, że to nie człowiek wyznacza swą drogę i nie w jego mocy leży kierować swoimi krokami” (Jr. 10,23 Biblia Tysiąclecia). No właśnie!

Czyli **niewiara**, którą tak brzydził się św. Tomasz, uważając ją za najcięższy grzech człowieka i winę największą z możliwych, zasługującą na najwyższy rodzaj kary – to po prostu efekt **braku łaski bożej** u danego nieszczęśnika, który – co najwyżej – powinien zasługiwać na litość i współczucie u współbraci (byłe nie wyrażane z „ewangeliczną pokorą i miłością”, w wydaniu brata Tomasza, lub podobnie jemu myślących i czujących osobników). Nie jest to więc odchodzić od wiary ze **złej woli** – jak to widział ten wielki myśliciel – lecz z braku łaski wiary, którą to Bóg nie obdarzył tych ludzi, z sobie tylko znanych powodów. I to jest **prawdziwa przyczyna** owej „zatwardziałości serca” człowieczego,... jeśli wierzyć oczywiście religijnym prawdom i autorytetom.

Gdyby komuś było mało powyższego uzasadnienia, to jest jeszcze jedno – podstawowe; otóż Bóg dał ludziom DEKALOG, a w nim VI przykazanie „**Nie będziesz zabijał!**”. (Wj 20,1-17). Skoro już sam, osobiście pofatygował się na górę Synaj, aby własnym palcem wyrzeć (ew. wypalić albo wytopić) te przykazania na kamiennych tablicach, które wręczył Mojżeszowi, to chyba chciał tym podkreślić, że są te prawa dla niego ważne i tak samo ważne powinny być dla ludzi. Na jakiej więc zasadzie uznał (albo z jakich to przesłanek wyszedł) św. Tomasz, że łamiąc (lub namawiając do łamania) jednego z najważniejszych przykazań Boga danych ludziom – służy Bogu a nie Szatanowi, na przykład?

Jeśliby Bogu zależało, aby **wszyscy** bezwarunkowo przyjęli jego Prawdę, potrafiłby im **zmiękczyć** serca (i umysły), tak jak to uczynił Egipcjanom, by „pożyczyli” Izraelitom swoje kosztowności, dzięki czemu z łatwością (i pomocą Boga) złupili i ograbili oni swych ciemnych. Skoro zaś tego nie zrobił, oznacza to, iż św. Tomasz nie musiał go wyręczać w tym aspekcie jego dzieła. Sam zresztą przyznaje mimochodem, że Bóg **pozwolił** człowiekowi **oddalić się** od Prawdy (co jest wg Tomasza niewyobrażalną wręcz i karygodną zbrodnią) i zbliżyć się ku nicości. „Bo gdybyś miał coś w nienawiści, nie byłbyś tego uczynił. Jakże by coś trwać mogło, gdybyś ty tego nie chciał? Jakby się zachowało, czego byś nie wezwał?” – czytamy w Bożym Słowie skierowanym do ludzi,... czyżby te jednoznaczne słowa były nieznanne bratu Tomaszowi?

Zwróćcie uwagę, że nie wykorzystałem w swoim rozumowaniu **późniejszych prawd religijnych**, dotyczących naszego Boga, które to zostały „odkryte” w kilkaset lat po śmierci św. Tomasza, a które mówią przecież wyraźnie: „Jest przyjętą tezą przez wszystkich teologów kat., że Bóg współdziała nie tylko w utrzymaniu w istnieniu, ale w każdej czynności stworzeń /.../ Bóg współdziała w akcie fizycznym grzechu /.../ Zło moralne w ostatecznym

wyniku służy również celowi wyższemu: chwale bożej, która się uzewnętrznia przede wszystkim w jego miłosierdziu przez przebaczenie, wtórnie zaś w sprawiedliwości przez karę /.../ Bez dopuszczenia zła moralnego – czyli grzechu – na świecie, nie ujawniłby się ten przymiot boży, któremu na imię Miłosierdzie (Sobór Wat. I).

Wyobrażacie sobie minę św. Tomasza gdyby się o tym dowiedział? Przecież z powyższych orzeczeń wynika niedwuznacznie, że on tylko **psuł** Bogu jego porządek rzeczy (dlatego Bóg współdziała w akcie fizycznym grzechu?), który jest tak pomyślany, by dzięki grzesznemu stworzeniu miał on nieskończenie wiele powodów do okazywania mu swego **miłosierdzia** przez **przebaczenie**, bo dzięki temu **chwała boża** uzewnętrznia się w całej swej okazałości. Dlatego w żadnym wypadku nie chodzi o **naprawianie** bożego dzieła, co chyba zbyt wziętą sobie do serca ten wielki teolog: „To był zawsze wielki problem brata Tomasza i jeden z najważniejszych celów jego trudu myślowego: jak wykazać mocą przyrodzonego rozumu, że błąd popełniają ci, którzy nie uznają Prawdy”.

A wystarczyłoby mieć trochę pokory, większe zaufanie do Stwórcy i uwierzyć, że „Świat jest taki, jakim go Bóg zamierzył, jeśli by chciał, aby był lepszy – byłby lepszy. Jeśli istnieje grzech, widać, że Bóg tak chce” (Cezare Vanini do tego doszedł swym przyrodzonym rozumem, także heretyk i także spalony za to na stosie), albo – jeśli to zbyt trudne – przynajmniej uznać, że naprawianie bożego dzieła poprzez łamanie (albo namawianie do łamania) przykazań bożych, to głupi pomysł i nie mający absolutnie nic wspólnego z miłością – ani do ludzi, ani tym bardziej do Boga,... proste, prawda? Aby to pojąć nie trzeba być nawet Wolterem, który tak to ujął: „Powtarzam po raz setny: nie służy się Bogu, szkodząc ludziom”. Dlaczego więc doszliśmy do tak krańcowo różnych wniosków w rozumowaniu dotyczącym tej samej przecież kwestii? Nie wiem co było przyczyną u św. Tomasza i szanownego Autora tego eseju (mogę się tylko domyślać), lecz u mnie zawinił po prostu **brak wiary**, tej, której Tomasz miał w nadmiarze jak się zdaje. Sprawa jest banalnie prosta; otóż ani przez chwilę nie potrafiłbym **uwierzyć** w Boga, który godzi się i aprobeuje zabijanie ludzi dla ich pośmiertnych korzyści i jakoby swojej chwały. I na dodatek jeszcze jest mu to ponoć tak bardzo miłe, że ci wszyscy, którzy przykładają swą rękę do tych ohydnych zbrodni (bo obłudnie tłumaczonych **dobrem i miłością** dla ofiar), zasługują na szczególne uznanie w jego oczach i powinni cieszyć się u bliźnich wieczną chwałą.

Właśnie jedną z przyczyn (drugą jest aż za dobra znajomość historii religii), z powodu których nie jestem osobnikiem religijnie wierzącym, jest ten odrażający wizerunek Boga, który nie dość, że aprobeuje ludzkie zbrodnie czynione w jego imieniu, nie dość, że pochwała je i udziela im swego błogosławieństwa, to jeszcze sam **nakazuje** ludziom zabijać „jego” wrogów (nie oszczędzając ani kobiet ani dzieci), rabować ich dobytek i zajmować ich ziemie. W takiego Boga – niestety (a może raczej na szczęście) – nie mogę i nie chcę uwierzyć i prawdę mówiąc dziwię się tym wszystkim, którzy nie dostrzegają w tych odrażających przejawach „ewangelizacyjnej miłości i pokory” – szatańskiego oblicza wyłaniającego się z niewyobrażalnie wielkich pokładów hipokryzji, fałszu i zakłamania, jakie tkwią w religiach. Powiecie zapewne, iż tak było dawno temu, lecz te ponure i mroczne czasy to już zamierzchnia przeszłość, która odeszła bezpowrotnie do lamusa historii. No cóż,... obawiam się, że nie macie racji. Gdyby ten pouczający esej zakończył się na tych słowach, które przytoczyłem wcześniej (czyli uznaniu „Summy teologicznej” św. Tomasza za pisma natchnione, dlatego leżała podczas Soboru Trydenckiego na ołtarzu obok Biblii), wiercie mi, że nie zawracałbym głowy tym problem ani sobie, ani tym bardziej wam. Ale jest jeszcze niestety dalszy ciąg tego eseju, który – co tu dużo mówić – przeraził mnie do tego stopnia, że postanowiłem napisać ten tekst, gdyż to, że współczesny filozof fascynuje się i zachwyca logiką uzasadniającą w faryzejski sposób mordowanie ludzi w imię abstrakcyjnej prawdy – to jeszcze można by zrozumieć (choć niekoniecznie pochwałać). Wiadomo: samo określenie filozofia katolicka – wszystko tłumaczy (tak jak kiedyś centralizm demokratyczny czy ekonomia polityczna). Jednakże mocno zastanawiające i dające dużo do myślenia jest to, co ów Autor pisze dalej w tym eseju i z czego można wnosić, że św. Tomasz ma godnych siebie następców. Cytuję:

„A jednak po tylu wiekach, które minęły od tamtych czasów, gdy czytamy dziś jego słowa, nachodzić nas mogą myśli smutne. Oto wygasły płomień stosów; mrok coraz większy cały świat ogarnia i nie dość, że pogan teraz więcej niż chrześcijan, ale wszelkie herezje bezkarnie zachwaszczają pole wiary i nikt nie ma siły ich powyrywać. Rodzi się bolesne pytanie, dlaczego wolno każdemu głosić, co sam za prawdę uważa, choć przez to coraz więcej ludzi odchodzi od Drogi, Prawdy i Życia, a cała cywilizacja życia chrześcijańskiego staje się cywilizacją śmierci. Nie zabrakło przecież drewna, by stosy układać; zapewne więc zabrakło

żaru wiary, by je rozpałać.

Wierzyć można jedynie aktem wolnej woli. Ta wielka przesłanka Tomaszowa słuszna jest w sposób bezwzględny. Jeśli więc słabnie wiara, przyczyną musi być osłabienie woli. Ośmielmy się zapytać: czy w swoich rozważaniach nie pominął św. Tomasz niczego, co może przyczynić się do wzmocnienia woli ku Wierze Prawdziwej? I miejmy odwagę wskazać, że nie wszystko uwzględnił. Oto bowiem słusznie odróżniając niewiernych od heretyków i wskazując, że tych pierwszych jedynie wolna wola, nie zaś siła skłonić może do wierzenia, przeszedł Tomasz od razu do kwestii karania tych drugich, przez co zasugerował, jakoby wobec pierwszych żadnego przymusu odnośnie wiary stosować nie należało. Tymczasem takie postawienie sprawy byłoby błędem; aby to wykazać posłużmy się analogią. Pięknie wykazał Tomasz, że nie można siłą skłonić do wierzenia, można zaś siłą zmuszać do wytrwania w wierze". I tutaj Autor eseju posługuje się przejrzystą analogią do władzy świeckiej, która przecież przymusza obywateli do wypełniania pewnych obowiązków na rzecz społeczności w której żyją. „Wszelako są zawsze i tacy, którzy złą wolą powodowani nie chcą poddać się rozsądnym zaleceniom; tych władza świecka zmusza do posłuszeństwa, albowiem lepiej jest, by byli posłuszni ustanowionemu prawu, niż mieliby korzystając z wolności woli, prawo to łamać” (cytat z eseju). Analogia kończy się stwierdzeniem, że wielu którzy w pierw byli niechętni temu przymusowi potem samemu się przekonało, że to przecież dla ich własnego dobra i sami wszystko chętnie spełniali.

Dalej Autor tak pisze: „I tu dochodzimy do kwestii nie uwzględnionej przez Tomasza. Jeżeli niewierny usłyszy Prawdę wiary, nie zawsze i nie od razu skłoni ku Niej swą wolę. Otóż w takich wypadkach lepiej jest, skoro pozostaje on pod władzą chrześcijańską, przymusić go siłą, by słucał nauk chrześcijańskich i choćby zewnątrz, wbrew własnej woli, spełniał praktyki wiary, oczywiście te jedynie, które nie wymagają dyspozycji do przyjmowania sakramentów. Tylko wówczas nie będzie zgorzeniem dla innych a i sam najpewniej po jakimś czasie przekona się do Prawdy i z wolnej woli przylgnie do niej całym sercem. Tej prostej oczywistości Tomasz nie uwzględnił w swym rozumowaniu, a skutki tego przeoczenia okazały się dalekosiężne i tragiczne.

Teraz rozumiemy, dlaczego coraz bardziej słabnie wola wyznawania wiary /.../ Słaba, skażona grzechem pierwotnym jest wola człowieka. Mimo to powiedział Pan: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” /.../ dlatego Ci, których obdarzył Bóg łaską wiary silnej, mają obowiązek podtrzymywania siłą słabnących. Tak więc jedno z dwojga: albo wyznajemy Prawdę, albo przyjmujemy postawę Piłata. Logicy nazywają takie zdanie alternatywą rozłączną”. Koniec cytatu oraz eseju.

No i jak wam się podobają te perełki rozumowania – współczesnego przecież – profesora filozofii katolickiej? Zanim przejdę do meritum, chciałbym zwrócić waszą uwagę na ten nieoczekiwany (ale jakże ekscytujący) zwrot akcji w przedstawionym tu toku myślenia. Wpierw pisze on tak: „Ścisłość logicznych wywodów wzbudza podziw; nie sposób oprzeć się sile wniosowania, która zmusza do uznania wniosku, skoro uznało się przesłanki. To jednak każdy logik potrafi i nie na tym polega wielkość Tomasza; miarą wielkości człowieka jest to, jakie dobiera przesłanki dla swoich wnioskowań”.

Tu Autor przytacza zgrabną (i cytowaną już) analogię do nieświadomego swego położenia człowieka w ciemności, którego powinno się wyprowadzić na Światło, używając przymusu nawet, oraz niewidomego krocącego ku przepaści, którego trzeba zawrócić z tej drogi, nawet gdyby się opierał. Dalej tak pisze: „A jednak Tomasz większy jest od Platona, gdy powiada stanowczo, iż tak czynić nie należy /.../ ponieważ wierzyć można jedynie aktem wolnej woli. Trzeba być zarazem wielkim sercem i umysłem, aby z taką oczywistością i stanowczością tę przesłankę przyjąć”. I dalej: „Wielka jest siła logiki Tomaszowego rozumu, tak wielka, że pozwala nam sądzić, iż dzieła Tomasza są pismami natchnionymi”. I jeszcze dalej: „Wierzyć można jedynie aktem wolnej woli, ta wielka przesłanka Tomaszowa słuszna jest w sposób bezwzględny”.

A zatem – jak przypuszczam – Autorowi tego eseju chodzi o to, że wielkość umysłu i charakteru św. Tomasza upatruje nie tylko w sile jego logicznych argumentów uzasadniających w sposób jednoznaczny i niepodważalny karanie śmiercią heretyków, ale też i to, że uznał on, iż niewierni (czyli innowiercy) nie podlegają temu prawu, mogą korzystać ze swej wolnej woli w tym względzie. A jednak – jak Autor przekonująco tłumaczy dalej – św. Tomasz uwaga: **popenił błąd** w ten sposób stawiając sprawę! Wyobrażacie to sobie?! Pomimo swego wielkiego rozumu i serca, mimo natchnienia w jakim były pisane jego dzieła, mimo nimbu

świętości otaczającej go już za życia – niestety – popełnił niewybaczalny błąd! Wygląda na to, że – zdaniem współczesnego filozofa katolickiego – powinien on całą mocą swego przyrodzonego rozumu wykazać, że nie tylko karanie śmiercią heretyków jest dobre i zbawienne, ale też powinniśmy (my, katolicy) to samo czynić niewiernym i pał sześc ich pogańską „wolną wolę”! Jeszcze z jedna – góra dwie – dobrze dobrane analogie i na pewno dałoby się to logicznie i przekonująco uzasadnić, nieprawdaż?

„Tej prostej oczywistości Tomasz nie uwzględnił w swym rozumowaniu, a skutki jego przeoczenia okazały się dalekosiężne i tragiczne” – pisze Autor tego eseju, a w innym miejscu dodaje: „Pięknie wykazał Tomasz, że nie można siłą skłonić do wierzenia, można zaś siłą zmuszać do wytrwania w wierze”. Wystarczyło by więc, aby św. Tomasz równie pięknie i z właściwą sobie wnikliwością i siłą logiki wykazał, że to samo może – a nawet **powinno** – dotyczyć niewiernych i byłoby po kłopotcie,... kto wie czy nie raz na zawsze. Jakie to proste, prawda? Jeśli ma się wystarczająco dużo wiary oczywiście, w słuszność tego co się robi i myśli i nie ma się w tym względzie żadnych wątpliwości.

Zauważcie też co Autor proponuje w miejsce tego co jego zdaniem przeoczył św. Tomasz; należy siłą przymuszać niewiernych, aby **udawali** przynajmniej, że wierzą w Prawdę, gdyż wówczas nie będą zgorszeniem dla wiernych. Jakże wymowny przykład „świętej obłudy”, sam mistrz by się nie powstydział (mam na myśli Lucyfera). Wszak nie ta tytułowa pominięta kwestia przez św. Tomasza jest tutaj najważniejsza (tym powinni raczej martwić się innowiercy) i nie ona mnie zbulwersowała i przeraziła. Nie wiem czy dostatecznie zwróciliście uwagę na pewien znamieny fragment rozumowania Autora tego eseju, mianowicie na tę oto konstatację:

„A jednak po tylu wiekach, które minęły od tamtych czasów, gdy czytamy dziś jego słowa, nachodzić nas mogą myśli smutne. Oto wygasły płomień stosów, mrok coraz większy cały świat ogarnia i nie dość, że pogan teraz więcej niż chrześcijan, ale wszelkie herezje bezkarnie zachwaszczają pole wiary i nikt nie ma siły ich powyrywać. Rodzi się bolesne pytanie, dlaczego wolno każdemu głosić, co sam za prawdę uważa, choć przez to coraz więcej ludzi oddala się od Drogi, Prawdy i Życia, a cała cywilizacja życia chrześcijańskiego staje się cywilizacją śmierci. **Nie zabrakło przecież drewna by stosy układać; zapewne więc zabrakło żaru wiary, by je rozpalać**”.

Jakież urzekający przykład stosowania w praktyce zasad „religii miłości i miłosierdzia”, którą ponoć jest chrześcijaństwo, nie uważacie? Parę razy musiałem przeczytać tę wielce pouczającą książkę, aby upewnić się, czy szanowny Autor pisze to na poważnie, czy sobie żartuje w wyrefinowany nadzwyczaj sposób? Tym bardziej, że na jej okładce jest taki oto cytat z przedmowy: „Jednak wątpliwość nie znika – przecież w imię swojej prawdy człowiek potrafi zabić człowieka”. Więc myślałem może, że Autor w ramach tychże **wątpliwości** będzie chciał skrytykować te prawdy (albo przynajmniej zdystansować się do nich), w imię których człowiek potrafi zabić człowieka,... lecz nic bardziej błędnego!; Autor ów jak najbardziej poważnie podziwia św. Tomasza i fascynuje się jego rozumowaniem, w którym w logiczny sposób uzasadnia on karanie śmiercią heretyków i jeszcze sam od siebie „poprawia” go, uzasadniając – w równie przekonujący sposób – że ze wszystkimi innymi niewiernymi powinniśmy robić dokładnie to samo, a miast współczesnej cywilizacji śmierci – wszyscy ludzie podążaliby jedynie słuszną i właściwą Drogą Prawdy i Życia,... pod nadzorem Kościoła kat., oczywiście! No, jeśli ci „niewierni” mają podobnych „myślicieli”, to miej nas Panie w swojej opiece!

Dlatego nie dziwcie się mi, moi drodzy, że kiedy słyszę takie oto wypowiedzi „świętych ludzi”, jak te przytoczone na wstępie: „Zachłystujemy się różnymi wolnościami, nie zdając sobie sprawy, że prawdziwa wolność istnieje tylko w połączeniu z prawdą /.../ Przychodzi czas na to, ażeby blask tej prawdy zaczął rozjaśniać na nowo mrok ludzkiej egzystencji” – nieodmiennie widzę oczyma wyobraźni ten rodzaj „wolności”, który dla wszystkich bez wyjątku chciałby zgotować św. Tomasz z Akwinu i jego ideowi następcy – papież. W imię tejsze Prawdy, która choć nieustannie pisana przez duże „P” ani razu nie była skonkretyzowana,... widzę ten „mrok nieświadomionej” ludzkiej egzystencji, **na nowo** rozjaśniany w jeden możliwy sposób, w jaki potrafią „rozjaśniać” nasi duchowi przewodnicy i rządcy sumień – poprzez płonące stosy, na które przecież i w dzisiejszych czasach drewna by nie zabrakło, ani chętnych do ich podpalania jak i wskazywania i osądzania winnych.

Trzeba tylko przestać zachłystywać się jakimiś głupimi pozorami wolności, a skorzystać z tej jedynie właściwej i od dawna wypróbowanej metody jej krzewienia. Nie trzeba by nawet pisać nowych instrukcji postępowania – wystarczyłoby sięgnąć do zasobów archiwalnych, a w razie czego przecież, współczesnych Sprengerów i Kramerów – nie zabrakłoby jak widać.

Brr,... nie wiem jak wam się to podoba, lecz ja osobiście wolałbym nie doczekać tych czasów, w których to miały by być „rozjaśniane” **od nowa** te „mroki” ludzkiej egzystencji, przez tego rodzaju „naprawiaczy ładu moralnego”. Pomijając to, że sam swoją egzystencję potrafię rozjaśnić dostatecznie dobrze bez zewnętrznej „pomocy”, to nie zamieniłbym swego „mroku umysłowego” na najjaśniejszy blask tej abstrakcyjnej prawdy, choćby była pisana 10 razy większymi literami; za bardzo ona potrafi **oślepić** wszystkich, aby to zniosły moje wrażliwe oczy. Niechże zachłystują się nią ci, którzy jej potrzebują, a ja – jeśli jeszcze mogę wybierać – pozostanę przy swojej, tej przez małe „p”, ale za to konkretnej. Nikogo też nie namawiam, aby poszedł moją drogą (też z małej litery, niestety) poznawania świata,... no chyba, że czuje do tego **powołanie**, to co innego! Oznacza to wtedy, iż osobnik ów został obdarzony przez los **łaską zrozumienia**, co jest następnym etapem po **łasce wiary**. Analogicznie i nie naukowo: „Akt wiedzy jest to przyjęcie jakiegokolwiek konkretnej prawdy przez rozum, bez nakazu woli, pod wpływem łaski zrozumienia, ze względu na logicznie przekonującą argumentację i brak wewnętrznych sprzeczności w teźe”. Ale to tak na marginesie.

I na koniec już chciałbym wrócić do tego intelektualnego problemu, o którym wspomniałem na samym początku i który dotyczy meritum tego eseju. Otóż interesuje mnie bardzo, cóż to jest za tajemnicza **Prawda** (pisana wyłącznie z dużej litery), na którą bez przerwy powołuje się i św. Tomasz i Autor tego eseju i cytowany na początku papież Jan Paweł II? Pan podobno powiedział: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”, lecz **jaka** prawdę miał on na myśli? (tak samo dobrze mogło mu chodzić o Racjonalistę, czyż nie?).

Mogę się z tym zgodzić, gdyż logicznie to brzmi i sensownie, ale dobrze byłoby wiedzieć **od czego** ona ma nas **wyzwolić** i w jaki sposób? Dziwnym wydaje mi się to, że choć co krok powoływano się na tę Prawdę, ani razu jej nie skonkretyzowano; a przecież „Prawda jest zawsze konkretna, nigdy abstrakcyjna” (jak mawiał tow. Lenin i ja akurat w to wierzę). Czy to nie jest zastanawiające?

Próbowałem sam tego dociec, ale nie wiem czy z dobrym skutkiem,... no bo tak: wiadomo już, iż nie jest to **boża prawda**, gdyż ta, dotycząca tego aspektu moralnego, skierowana bezpośrednio do wszystkich ludzi – jest krótka i jednoznaczna: **nie będziesz zabijał!** Więc to w żadnym wypadku nie o nią chodzi, ani św. Tomaszowi ani Autorowi tego eseju. Nie jest to też **prawda o Bogu** jaką posłużył się Autor pisząc: „Tak bardzo Bóg umiłował człowieka, że zechciał, by służył mu bez przymusu; i dlatego obdarował go wolną wolą”... Tu też nie może chodzić o tę prawdę, bo i św. Tomasz i Autor eseju wyraźnie – choć po „jezuicku” pokrętnie (kiedyś to był synonim takich właśnie zakłamanych i pozornie logicznych argumentacji) – nawołują jednak do przymusu, nie licząc się wcale z powyższą prawdą,... a więc to też nie o nią chodzi.

Nie jest to także prawda z Deklaracji o wolności religijnej, gdzie wyraźnie przecież napisano: „Człowiek powinien **dobrowolnie** odpowiedzieć Bogu wiarą, nikogo więc wbrew jego woli nie wolno do /.../ wiary przymuszać”. Zatem to też nie o tę prawdę mogło chodzić wyżej wymienionym myślicielom. Nie może to być też prawda Jezusowa, który tak powiedział: „Ja jestem drogą i prawdą i życiem” – nie ma w niej bowiem **żadnej** wzmianki o karaniu kogokolwiek, o jakimkolwiek przymusie, ani też o **zabijaniu** w jego imieniu. Owszem jest mowa o **życiu**, ale nie o odbieraniu tego życia – o śmierci. Więc to też nie o tę prawdę musiało chodzić.

Jakaż to więc może być **Prawda** (tak duża, że pisana z dużej litery), która pozwala lekceważyć przykazania boże i mieć za nic normy moralne, dane nam ponoć z tego samego źródła? Czytając (szczególnie) ten esej, rodzi się bolesne pytanie: Czy to możliwe, aby **prawda** mogła ludzi **zaślepić** zamiast ich **wyzwalać**? I to do tego stopnia, iż nie potrafią jej odróżnić od **pozorów prawdy**? Może jest więc to tak, jak twierdził Horacy: „Jesteśmy okłamywani pozorami prawdy”....

Wypadałoby więc zadać ostatecznie już pytanie (równie bolesne) dotyczące tej „pominiętej kwestii”: jeśli już wiemy, że to nie żadna z powyższych prawd była tą **racją nadrzędną**, którą kierował się św. Tomasz w swym rozumowaniu – to jakież to **potężne kłamstwo** za nią walczyło, że odnosiła ona (i odnosi nadal) zwycięstwa i sukcesy przez tyle wieków?! To ci jest prawdziwa zagadka teologiczna (albo jakaś inna),... chyba nie do rozwiązania, nie uważacie? A że musiało to być kłamstwo, można wydedukować już z samej tej interesującej książki. Otóż w przedmowie jej Autor rozważając na temat Prawdy i różnych metod rozumowego dochodzenia do niej, pisze tak:

„A może właśnie w tym momencie chwytny właściwe kryterium? Zapytajmy samych siebie, czy mamy poczucie słuszności takiej oto tezy: „Jeżeli ludzka prawda prowadzi do zbrodni, to nie jest ona Prawdą”. Gdybyśmy byli o tym głęboko przekonani, moglibyśmy wnioskować wedle zasady: „Jeżeli prawda tego oto człowieka może prowadzić do zbrodni, to nie jest ona Prawdą, a ponieważ prawda tego oto człowieka może prowadzić do zbrodni, to nie jest ona Prawdą”. Takie wnioskowanie jest niezawodne, jest odmianą wnioskowania dedukcyjnego /.../ Jeżeli więc przesłanki są prawdziwe, to i wniosek musi być prawdziwy. Ale czy te przesłanki są prawdziwe?” – zapytuje Autor czytelników nieco przekornie, pobudzając ich do myślenia.

Teraz już rozumiecie moją konsternację po lekturze tej książki? Autor jednocześnie podaje w niej przekonująco logiczne **kryterium prawdy**, według którego z łatwością można odróżnić jej pozory i fałsz od autentyczności, a np. w eseju o św. Tomaszu fascynuje się i zachwyca logiką wywiedzioną przez niego prawdy, która wg tego kryterium **musi być kłamstwem** (co zresztą widać na pierwszy „rzut oka”). Wybaczcie, ale tego akurat w żaden sposób nie potrafię pojąć swym przyrodzonym i słabo wykształconym rozumem, choć wielokrotnie i z uwagą studiowałem ten tekst; bez dwóch zdań — musi przerastać mnie swą złożonością problemu! Ale to tylko taka luźna dygresja, wróćmy do tematu:

Otóż wg mojej mocno subiektywnej oceny można śmiało uznać, że są te przesłanki prawdziwe i tak bym to udowodnił: skoro Prawda (ta z dużej litery) jest utożsamiana z samym Bogiem, a On – jako absolutna doskonałość – nie może być posądzony o jakikolwiek udział w jakiegokolwiek zbrodni (tak widzą ten problem myśliciele chrześcijańscy i tu powinienem podeprzeć się autorytetem św. Augustyna i nie tylko, ale nie chcę wydłużać zbytnio tego elaboratu), to można z całą pewnością przyjąć, że prawda, która prowadzi do zbrodni nie może mieć nic wspólnego z Prawdą – synonimem samego Boga.

Więc jeśli powyższe rozumowanie uznamy za prawdziwe, wystarczy teraz dokonać małego zabiegu logicznego i zmienić je w taki oto sposób, by wszystko stało się oczywiste i wyraźne jak na dłoni; co powiecie na taki rodzaj logiki?: „Jeżeli boska prawda prowadzi do zbrodni, to nie jest ona Prawdą”. Jeśli jesteśmy o tym głęboko przekonani (ja np. jestem), możemy dalej wnioskować wg zasady: „Jeżeli prawda tego oto Boga może prowadzić do zbrodni, to nie jest ona Prawdą, a ponieważ prawda tego oto Boga może prowadzić do zbrodni, zatem nie jest ona Prawdą”.

Konkluzja powyższego narzuca się sama: „**Prawda Boża, która prowadzi do zbrodni nie jest i nie może być Prawdą utożsamianą z Bogiem, a Bóg, którego ona ponoć reprezentuje nie jest i nie może być Bogiem. Jest ona jedynie prawdą ludzką (jedną z wielu), która jest tylko przedstawiana jako Prawda Boska i która ma za taką uchodzić w oczach ludzi**”. Nie wiem jak dla was, lecz dla mnie to rozumowanie jest na tyle przekonujące, że stosując to kryterium prawdy do logicznych „dowodów” św. Tomasza, od razu i z całą wyrazistością widać ich fałsz i niemoralność. Dlatego na to kończące ten esej zdanie: „Tak więc jedno z dwojga: albo wyznajemy Prawdę, albo przyjmujemy postawę Piłata. Logicy nazywają takie zdanie alternatywą rozłączną”, odpowiedziałbym w taki sposób:

Może byłoby dla nas najlepiej, iż zanim **uwierzemy**, że mamy do czynienia z autentyczną Prawdą (tą przez duże P), przyjrzyjmy się jej bardzo uważnie – wręcz z podejrzliwością – bo może być tak, iż jest ona jedną ze zwykłych ludzkich prawd, udających tylko tę Prawdę Bożą i obiecujących – jak one wszystkie – **wyzwolenie** nas, gdy tak naprawdę każda z nich próbuje nas **zniewolić** i spowodować abyśmy wyłącznie jej służyli. Może więc zamiast tej sugerowanej alternatywy (rozłącznej) korzystniejsze byłoby dla nas, nabycie jak najwięcej **wiedzy o prawdzie**, niezależnie od tego czy pisanej z małej czy z dużej litery.

Bo to, że tylko **prawda może nas wyzwolić** (od kłamstwa i pozorów prawdy) jest tak oczywiste, iż nie trzeba tego popierać żadnymi argumentami. Choć – jak wynika z niniejszego tekstu – nie chodzi tu wcale o tę pisaną przez duże P, lecz o **każdą konkretną prawdę**. Zatem reasumując powyższe, nie będzie chyba żadną przesadą jeśli stwierdzę, że „ludzkie oblicza boskiej prawdy” – to tak naprawdę – ludzkie oblicza ludzkiej prawdy o bogach, których stworzyliśmy swoją wyobraźnią na własne podobieństwo. Innej prawdy niż ludzka – na ten temat – po prostu nie ma, choć robimy wszystko (nie bez pomocy kapłanów), aby tego nie dopuszczać do swojej świadomości.

Czy nie dlatego właśnie w imię swojej prawdy człowiek potrafi zabić człowieka, skoro wierzy on bez zastrzeżeń, że tacy przewodnicy duchowi jak np. św. Tomasz i jemu podobni, służą Bogu całą mocą swego rozumu i wypełniają jego wolę? A co by było gdyby np. ów człowiek **wiedział** i był o tym głęboko przekonany, że „święty” Tomasz (i jemu podobni) nigdy

i w żaden sposób **nie służył Bogu** całą mocą swego rozumu – lecz co najwyżej ziemskiej potędze i władzy Kościoła kat.? Czy w imię tejsze **prawdy** potrafiłby tak bez żadnej wątpliwości zabić inaczej myślącego człowieka? Jak wam się wydaje?

*

„Największe i najstraszliwsze zło, jakie człowiek wyrządza człowiekowi, bierze się z niezłomnej wiary w słuszność fałszywych przekonań /.../ Można skonstatować ciekawy fakt, że im intensywniejsza była religijność danego okresu, im głębsza wiara w dogmat, tym większe było okrucieństwo i tym gorszy ogólny stan rzeczy. W tak zwanych wiekach wiary, gdy ludzie rzeczywiście wierzyli we wszystkie twierdzenia religii chrześcijańskiej, mieliśmy tortury inkwizycji, miliony nieszczęśliwych kobiet spalono jako czarownice i nie było okrucieństwa, którego by się nie dopuszczono na wszelkiego rodzaju ludziach w imię religii. /.../ Oświadczam po dojrzałym namyśle, że religia chrześcijańska w postaci, jaką jej nadały Kościoły, była i jest jeszcze głównym nieprzyjacielem moralnego postępu świata” (Bertrand Russell)

„Są umysły, które każda prawda prowadzi do błędu, inne szczęśliwym zrządzeniem losu, każdy błąd prowadzi do wielkich prawd” (Joseph Joubert)

„Człowiek nigdy nie czyni zła tak starannie i tak chętnie, jak wtedy jak działa z pobudek religijnych” (Blaise Pascal).

Lucjan Ferus

Autor opowiadań fantastyczno-teologicznych. Publicysta Racjonalisty

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 17-07-2008 Ostatnia zmiana: 17-07-2008)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5963) (http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5963)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl